Janina Łagoda

Klęskę lewicy w ostatnich prezydenckich wyborach można rozpatrywać także w kategoriach klasycznego dramatu, co wcale nie musi oznaczać skoku w przepaść i unicestwienia raz na zawsze lewicowości w umysłach Polaków. Na szczęście w tej chwili taka opcja nie wchodzi w rachubę. Do ostatecznego rozwiązania droga daleka.

Sypanie popiołu

Przyczyny wyborczego niepowodzenia lewicy są i zapewne jeszcze długo będą solidnie analizowane z zastosowaniem merytorycznych, a nie emocjonalnych narzędzi. W tej chwili gorączkowe snucie wniosków ze sromoty byłoby szkodliwe, a żywiołowe wymyślanie haseł w stylu: odwołajmy przywódcę, rozwiążmy się, zmieńmy partyjne szyldy, twórzmy nowe byty, zrezygnujmy z dotychczasowego dorobku etc. niczemu nie służy, chyba że dalszemu zagubieniu elektoratu. A jego wartość należy przede wszystkim szanować. Cóż bowiem znaczy partia bez wyborców? Chyba tylko tyle, że może odbywać walne zgromadzenia w budce telefonicznej. Ma to wprawdzie niebagatelny wpływ na poziom kosztów funkcjonowania partii, ale już nie na jej skuteczność. Okazuje się, że ta konstatacja Cata-Mackiewicza raptem stała się aktualną perspektywą także dla rozdygotanej polskiej lewicy. A wybory parlamentarne tuż.

Do szukania źródeł niepowodzenia i praktycznej naprawy lewicowej sceny przystąpiły mniej lub bardziej znane tuzy od dawna recenzujące lewicę, a to już nie najlepiej rokuje. Niemal wszyscy prezentujący się w medialnych migawkach jako jej uzdrowiciele, swoje nazwiska grawerowali w lewicowych partyjnych strukturach. Brali udział nie tylko w tworzeniu jej sukcesów, ale i w rozłamowych czynach, które doprowadziły kwitnącą formację do stanu upadłości. To plejada osób kiedyś wtłoczonych w najważniejsze stanowiska w Polsce, a teraz z sarkazmem – w koniunkturalnym odbiciu – krytykująca poczynania lewicy. Gdzieś się zapodział rozsądek. Zaoszczędźmy wstydu i pomińmy nazwiskową wyliczankę Głoszone przez nich oceny mają najczęściej personalny wymiar odnoszący się do aktualnego szefa Sojuszu Lewicy Demokratycznej (SLD), bo ideowość chyba już dawno ich opuściła, albo w ogóle nie byli nią skażeni. Najczęściej zwyciężał u nich egoistyczny utylitaryzm.
Dla niektórych z nich bycie na lewicy, to poza dźwiganiem serca po lewej stronie, jak anatomia uczy, nie stworzyło kompatybilnego układu z szarymi komórkami, ale to już inna dziedzina medycyny i psychologii.
Aktualni krytykanci w wielu przypadkach byli zespoleni z lewicą rodzinną tradycją, która stanowiła także sposób na życie: urzędniczenie w partyjnych strukturach, posłowanie, ministrowanie, ambasadorowanie, zasiadanie w spółkach skarbu państwa z poręki partii itp. Proletariacka wrażliwość stała się zaledwie werbalną etykietą. O elektoracie zwykle przypominali sobie wyłącznie w okresach wyborczych batalii i to tylko po to, aby uzyskać społeczne przyzwolenie na przedłużenie kontraktu w strukturach władzy. Okres między wyborami leżał ugorem. Nieliczni tylko wędrowali po kraju, głosząc lewicowe słowo. Wytworzył się swoisty moduł dwupolówki, tj. wyrafinowane koncentrowanie się na akcjach wyborczych oraz ufność w opatrzność tzw. żelaznego elektoratu. Taki sposób myślenia, to zwyczajna krótkowzroczność, która ostatnio objawiła się klęską. Cierpliwość wyborców też ma swoje granice, mądrością znaczone. Szacunek elektoratu dla wybrańców podcyfrowany kartką

wyborczą wymaga adekwatnych zachowań drugiej strony. Każda darowizna musi mieć głęboki sens moralny. Faworyci nie mogą się sprzeniewierzać tym regułom, a tak od lat działo się także na lewicy. Wyborcy zaczęli więc konsekwentnie egzekwować warunki wzajemnego zaufania, czego pupile nie dostrzegali. Bliższe im było wypatrywanie zaproszenia do współrządzenia niż rzeczowe recenzowanie władzy. W tym punkcie Sojusz pozostaje w ogonie,
a skutki tego są powszechnie znane. Pogubił się w obowiązkach partii opozycyjnej. Nie wolno traktować partii jak osobistego urzędu pracy załatwiającego synekury jej członkom. Do współrządzenia daleko, a elektorat blisko. To on w ostatecznym rachunku decyduje o parlamentarnej reprezentacji i niechże o tym abecadle pamięta również szczeciński lewicowy ideowiec, który nie wie z czego będzie żył, jeśli nie zostanie deputowanym, jak swego czasu skonstatował, a dziś z bojaźni przed rejestracją w urzędzie pracy usiłuje tworzyć nową partię, aby być blisko poselskich diet. Żenujące to zabiegi. Niechaj lewica chroni się przed takimi ideowcami.

Architekci dzisiejszej lewicy

W lewym fragmencie politycznej estrady nastąpiła personalna erupcja uzdrowicieli, proroków etc., których można spiąć kultowym pojęciem wrażliwych wujków dobrej rady. Są nimi najczęściej ci, którzy z różnych powodów znaleźli się w opozycji do własnej lewicowej partii, a ściślej do określonego układu personalnego administrującego partią. Każdy z nich dysponuje receptą na nadzwyczajnie skuteczną kurację, wszak pod jednym warunkiem, że będzie się to działo wedle jego etalonu. I tą optymistyczną refleksją można przewidzieć kres tego rodzaju inicjatyw. Niektórzy z nich mieli szansę na modernizację lewicy. Kończyło się to fatalnie. Zwyczajnie zabrakło przysłowiowej, racjonalizmem nasyconej stopy wody pod kilem. W dniu dzisiejszym większość z tych, kiedyś z poręki lewicy utytułowanych sterników usiłuje ponownie naprowadzić ją na głębokie wody, lekceważąc nawigacyjne mielizny.
W żeglarskim fachu wiek i idące z nim w parze doświadczenie mają ogromną wartość. Sztuką zaś jest łączenie młodości z jesienią. Tylko nielicznym się to udaje. Może w ten ranking w końcu wpisze się Sojusz i przynajmniej odzyska to, co stracił z lat 90. ubiegłego wieku (216 posłów i 75 senatorów). Wówczas stałby się realnym narzędziem korygującym podział produktu krajowego, ale i moderatorem ocen historii Rzeczpospolitej. Przestrzeń to olbrzymia. Dzisiejszy stan posiadania – mimo wszelkich niepowodzeń – wcale nie stempluje klęski. Natomiast asekuranctwo, zwłaszcza w eksponowaniu swoich ideowych i socjalnych zamysłów, to fatalny rys.
Nie ma wątpliwości, że lewica jest dla demokracji niezbędna. Jej rola już dawno została zdefiniowana, a to czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wówczas to ukuto triadę pojęć: wolność, równość, braterstwo. Ich praktyczna realizacja, to zbiorowy wysiłek. Ten truizm wielu lekceważy, pracując na własną klęskę, z czego – w koniunkturalnych porywach – nie zawsze zdają sobie sprawę. W naszych warunkach, kwestią piramidalnie nadzwyczajną i pilną jest bezwarunkowe podporządkowanie się liderowi (aktualnemu lub nowemu), który potrafi sprawnie poruszać się w lewicowym labiryncie i temperować kontrowersyjne żądania innych, a zakwasy skutecznie neutralizować. Oczyszczoną zaś energię włączać w system wolny od destabilizacji rodzimego ugrupowania. Chyba od tego należałoby zacząć remont lewicy, a nie od szukania winnych klęski. W ten sposób można deliberować w nieskończoność, aż do całkowitej utraty elektorskiej przestrzeni. Czasu niewiele, bo parlamentarne wybory blisko. Wewnątrzpartyjne antagonizmy, to wymarzona sytuacja dla przeciwników. Jak się okazuje, sarmackie swary również nie opuszczają lewicy i przysparzają satysfakcji przeciwnikom. Po

drugiej stronie nie jest lepiej, ale jak dotąd skuteczniej. Zasklepianie się w jałowych personalnych animozjach, to droga klęski.
Kongresy, konwencje, zjazdy, spektakularne mityngi podsumowujące dotychczasową robotę partii i kreślące nowe programy, mają wprawdzie medialny wymiar, ale niewiele załatwiają dla sprawności jej funkcjonowania. Są to zaledwie przyprawy politycznej kuchni. W tym partyjnym bigosie równie dobrze można topić ideę w stylu: robotniczy sztandar wyprowadzić. Ponadto całkowicie zlekceważono myśl o przybliżeniu do siebie mediów, a to oręż znaczący w łączności z elektoratem.
Żywotność partii jest wprost uzależniona od codziennego bycia ich działaczy wśród wyborców tych stałych i potencjalnych. Formy kontaktów obfitują różnorodnością, ale od lat sprawdzają się polityczne autokary wypełnione kompetentnymi społecznikami, docierające tam, gdzie problemów socjalno – bytowych i ideologicznych jest ogrom. I nie jest to stolica ani inne wielkie miasta, lecz popegeerowskie równiny.

Dylematy lewicowców
To, co aktualnie obserwujemy, to popisy osób, od lat znanych jako prominentni działacze socjalistycznych struktur. Przyjęli nader prymitywną metodę uwiarygodniania się wobec nowych decydentów państwowej nawy. Raptem zapomnieli o historycznych napisach na sztandarach, których byli chorążymi. W nowej epoce chwycili za wypolerowane drzewce z nadzieją niesienia ich w pierwszym hołdowniczym szeregu. Idealistyczną lewicowość przełożyli na arogancki kapitalizm, upajając się materialnym dostatkiem.
Łatwość adaptacji szokuje, ale i zadziwia. Jeśli już przyjęli tak wygodną opcję, to niechaj odpoczną od głoszenia lewicowych nauk. Są tyle wiarygodni, co biblijny listek figowy. Ich nieszczęściem jest to, że uwielbiają parcie na media, zwłaszcza te szklane. Dla dziennikarzy interes to znamienity, bo jakże nie wykorzystać samorzutnej krytyki lewicy przez ich niedawnych dygnitarzy, którzy, o przekoro, jej zawdzięczają swój dzisiejszy status. Mogliby się przecież powstrzymać od sarkazmu wobec własnych korzeni. Chyba mają świadomość tego, że napastliwymi wypowiedziami pogarszają sytuację lewicy, a sobie chluby i wiarygodności nie przysparzają, poza samoośmieszaniem się. Wśród nich sporo liderów dychawicznych lewicowych odłamów, będących skutkiem tandetnych pretensji wobec Sojuszu. Można tylko im współczuć. W tej chwili zachowują się tak, jak gdyby od zawsze pozostawali w opozycji do politycznej macierzy. Ich moralna uczciwość, siłą rzeczy, musi być co najmniej miałka, ale problem w tym, że nadal kontynuują krytykanckie dzieło, nie wypisując recepty na skuteczne leki dla lewicy. Opętało ich pustosłowie paraliżujące racjonalne odruchy. Przypuszczać należy, że materialny dostatek, wytrącił z nich żywioł społecznej wrażliwości, albo wyimaginowane ambicje przysłoniły realność.
Jednym z ważkich problemów dzisiejszej lewicy jest koniunkturalne odcinanie się od korzeni. Samobójcza to opcja. A tam właśnie, tj. w tradycji ruchu robotniczego należy szukać jej zakotwiczenia. Przecież dzisiejsza lewica nie wynurzyła się jak Feniks z popiołów. Zawsze tkwiła w nurcie korygującym drapieżny kapitalizm. Ale też potrafiła tworzyć nowe wartości te intelektualne, jak i materialne, czego dowodów chociażby z PRL-owskiej rzeczywistości jest dostatek. Dorobek materialny tamtego czasu nadal jest spieniężany przez rządzących, i o paradoksie, stał się zaczynem dzisiejszego krwiożerczego rodzimego kapitalizmu. Z drugiej strony wytwór klasy robotniczej, tj. ludu pracującego miast i wsi, budowany w patriotycznej wierze po okupacyjnej nocy dzisiaj stał się dla wielu przekleństwem. Dawni wytwórcy i zbiorowi właściciele majątku zostali z niego wydziedziczeni i na powrót trafili do kasty parobków.

Smutek tym większy, że wszystko to dzieje się w obrębie wolnościowych haseł, tak bardzo wyuzdanych w III RP. Linia demarkacyjna zwolenników i przeciwników tzw. bezwzględnego kapitalizmu (balcerowiczowska wersja) obfituje w różnorodne wybrzuszenia. Właśnie w tym punkcie wytworzyła się olbrzymia przestrzeń, którą wypełniać od dawna winny współczesne wartości lewicowe. Kuriozalna to sytuacja, bo poniekąd przypomina sądowy proces bezprawnie wydziedziczonego właściciela o dostęp do swojego majątku. Trudne do zrozumienia jest i to, że wielu uchodzących w PRL-u za bezwzględnych lewicowców raptem stało się wyznawcami kapitalistycznej religii. Ich motywacje są zróżnicowane, ale to odrębny temat.
Ważne jest to, aby materialni beneficjenci transformacji o lewicowej proweniencji zaprzestali kompromitować macierz i samych siebie. Tym sposobem nie oswoją prawicy, która ich instrumentalnie eksploatuje. Logiki żadnej. Ten absurd lewica – może w końcu zjednoczona – winna ze szczętem spożytkować w konsolidowaniu frontu ludzi pokrzywdzonych, bo to jest jej podstawowy uprawny zagon. Należy mieć nadzieję, że zorganizowany (17 czerwca br.) pod auspicjami OPZZ panel ugrupowań lewicowych dla wypracowania wspólnego stanowiska w jesiennych wyborach parlamentarnych, przyniesie pożądany skutek. Sprawa to niełatwa, kiedy uwzględni się indywidualistyczne cechy osobowościowe rodaków i niejako wrodzoną tendencję do komplikowania spraw oczywistych. Może wreszcie nadejdzie czas użytecznego kompromisu wyzwalającego jednolitą strategię ofensywy aczkolwiek optymizmem nie napawa wybór osoby mającej stymulować ruch socjaldemokratyczny.
Mentalność lewicowo-kapitalistycznych nuworyszy najczęściej sprowadza się do traktowania wymyślanych przez siebie tzw. lewicowych odłamów, jako tworów bezwzględnie im podporządkowanych. Traktują swoich sympatyków na zasadzie właściciela klubu, trzymającego w kieszeni zawodnicze karty. Przecież nie w tym tkwi istota lewicowości, chyba że to nowy polski patent w stylu: jestem kapitalistą, żyję w dostatku z wyzysku innych, ale się temu sprzeciwiam i animuję oportunistyczne wobec siebie poruszenie, nazywając je niekiedy eufemistycznie Twoim ruchem, które dzisiaj objawia się dwugłowym kierownictwem, a więc rozwiązanie przypominające hybrydę. Taka jest rozłamowców wola: być na piedestale, nawet kiedy ich fundamenty się obsuwają. Liczy się egoistyczne ja. Czy w tym miejscu można sobie wyobrazić konsolidację lewicy chociażby w uniwersalnych dla niej punktach nakreślonych podczas wspomnianej Wielkiej Rewolucji? Pilna stała się więc potrzeba odbycia repetytorium z definicji lewicowości.
W polskiej transformacji rola lewicy w funkcjonowaniu państwa jest nader skomplikowana. Jej misją jest temperowanie kapitalizmu, ale z drugiej strony partycypowała i to w istotnym wymiarze w tworzeniu modelowego systemu niesprawiedliwości społecznej. Ta dwubiegunowość poczynań wymaga subtelnych form i metod postępowania i przekonywującego objaśniania takiego zachowania. Jest to nowe wyzwanie dla lewicy, bo klasyczne formy mogą już nie wystarczyć.
W tym wszystkim ważne jest nawiązanie do geopolityki. Tutaj tkwi siła sprawcza zmian ustrojowych w naszym kraju, a nie wyłącznie w spontanicznym ruchu solidarnościowym i nonsensownym licytowaniu się z innymi byłymi państwami demokracji ludowej pakietem udziałów w obalaniu już wówczas nieistniejącego komunizmu w stylu: kto był skuteczniejszy. Nasz koszyk zasług w werbalnej wersji, jest oczywiście większościowy, ale to chyba kwestia zastarzałej megalomanii. Bez decyzji spadkobierców Wielkiej Trójki o rezygnacji z utrzymywania powojennych politycznych stref wpływów nasze szlachetne czyny, retuszowane gamą wyobrażeń o patriotyzmie i tzw. konspiracją, odniosłyby analogiczny sukces, jak wolnościowe powstania, no może poza Wielkopolskim.

Prawicowa partyjność

Partie prawicowe, które wyrosły z solidarnościowego pnia, gdzie również aktywnych lewicowców było bez miary, praktycznie dzisiaj stały się jedynymi moderatorami polskiej rzeczywistości. Pozornie między nimi iskrzy. Sprzyja temu ideowa eklektyczność tych ugrupowań. W uproszczeniu obydwie formacje, tj. Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość, utrwalają kapitalizm, ale zabiegają też o socjalną godziwość tych, co żyją z własnej pracy. Podzielili się rolami. Jedna partia rządzi i co oczywiste, dla świętego spokoju ważonego politycznymi interesami wyborców, musi przynajmniej w jakimś ułamku swojego programu uwzględniać socjalne potrzeby poddanych, bo żadna władza nie cierpi skierowanych przeciwko niej protestów, zwłaszcza ulicznych. Druga partia też pozornie zatroskana losem biednych współbraci, w populistycznych zadęciach, domaga się ze strony rządzących więcej gestów wobec proletariatu, stwarzając pozory łagodzenia ideowego konfliktu. I w ten oto pokazowy sposób partie te wytrącają z rąk lewicy jej podstawowy oręż, tj. dbałość o godność żyjących z własnej pracy, a także wykluczonych.

W odczuciu działaczy tych solidarnościowych rządowych i opozycyjnych partyjnych wytworów marzenia ludu są należycie zabezpieczane. Dzieje się to zaledwie w obrębie pracodawców i ich totumfackich. Jest to perfidna gra pozorów, na czym cierpią zarówno ufający im pracownicy, także ci o niepewnym statusie zatrudnienia (prekariat), jak i zastępy bezrobotnych, a tutaj spory odsetek młodzieży, która z certyfikatami w kieszeni pozostaje na utrzymaniu rodziców lub budżetu państwa, albo za chlebem porzuca ojczyznę. Ów dwubiegunowy stan partyjniactwa może na lata zostać zakonserwowany, dzieląc się na przemian rządzeniem i byciem w opozycji, a pauperyzujące masy doraźnie karmione socjalnymi przedwyborczymi wabikami i bliżej niezidentyfikowanym nowym otwarciem, pozostają w permanentnej rozterce i ubożejących statystycznych diagramach. Wszystko to jest dodatkowo maszczone religijno-mistyczną frazeologią, co w naszych warunkach stanowi ważki wyznacznik patriotycznej duchowości, przekładającej się na sejmowy wynik.

Wydaje się, że lewica z własnej poręki została wypchnięta z odwiecznego dla niej obszaru zmagań o sprawiedliwość społeczną. I to powinno być powodem do zatroskania, a nie manifestacyjne wędrowanie po sejmowych korytarzach tuzów Sojuszu z niewiele ważącą kartką papieru w sprawie rozwiązania parlamentu – decyzji chyba tak do końca nieprzemyślanej przez inicjatorów, a już na pewno nie skonsultowanej z elektoratem.

Dla lewicy poza klasyczną sferą czuwania nad socjalnym poziomem bytu bezmajętnych, istotną kwestią są obszary ducha, a przede wszystkim położenie kresu bezsensownej dekomunizacji, lustracji, rusofobii, emocjonalnej fascynacji ukraińsko-rosyjskimi problemami, wynoszeniu na piedestał tych, którzy anarchizowali powojenną odbudowę kraju walcząc krwawo ze współbraćmi (żołnierze wyklęci) itp. Niepokoi to, że co niektórzy byli prominenci lewicy zapatrzyli się w szkic prawicowej tożsamości.

Sadyzm prawicy wobec PRL–u i czynienie z niej niebytu, to wprawdzie ułuda, ale chwilowo skutecznie rozbrajająca lewicę. Nośność tej utopii przeraża. Okrajanie historii Polski o czas trwania PRL, to zgubny woluntaryzm i brak pokory wobec samych siebie. Życiorysy autorów tej opcji przecież wyrastają z dawnego systemu. Prawdopodobnie zinterpretowali na swój sposób słowa Wieszcza: Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu. Brutalnie zlekceważyli historyczne realia. Dlaczego tak łatwo rezygnują z własnych biogramów? Niespotykana w świecie dezynwoltura. Rolą lewicy jest położenie kresu tym wielce nieuczciwym wyobrażeniom o niedawnych czasach. Lewicowa detonacja nie wymaga zatem przesadnej finezji. Ważne, aby w saperskim odruchu uniknąć rażenia odłamkami samych

siebie. Nonszalancja to zły doradca.

* * *

W błogość tych, którzy uważają się za pogromców dawnego systemu winna orzeźwiającym klinem wbić się lewica, której misją będzie wskazywanie m.in. na to, że dzisiejsza wolność, to rezultat geopolitycznych konotacji wtłoczonych w historię Polski z czym się godziliśmy, bo innego wariantu dla nas nie było. Tak się stało w 1918 roku, taki też był rok 1945 i nie inaczej nastał rok 1989. Nic odkrywczego. Darowana nam suwerenność zawsze obfitowała wekslami. Kulisy odzyskiwanej wolności nie są więc czarno-białym obrazem.
SLD, poprzez przodków, ma wspaniałą historię sięgająca XIX wieku, a także niezły PRL-owski przedział. Nie musi udawać, że jest wielbłądem. Rzecz w tym, aby odważył się korzystać z tego dorobku. Pora na podjęcie trudu dokonania rzetelnej oceny PRL. Czas postawić kropkę przy wersji pisanej przez Instytut Pamięci Narodowej. Tak na marginesie ciekawi to, w jakim systemie wyrastała kadra tej politycznie uprzywilejowanej instancji interpretującej najnowszą naszą historię pod czujnym prokuratorskim nadzorem. Tam, gdzie nauka staje się bezradna, z pomocą wkracza urzędowy oskarżyciel.
Pora więc przyjrzeć się lansowanemu hasłu o ćwierćwieczu wolności, liczonej od symbolicznej daty wyborów parlamentarnych z 1989 roku (często traktowanej jako dzień kończący drugą okupację). Jest to magia, w którą uwierzył m.in. urzędujący prezydent RP. Niebezpieczna to fikcja klinem wbijająca się w jedność narodu. Szkoda tylko, że Sojusz nie sformułował wyrazistej opinii o tym zaklęciu, a czasu miał wiele. Wolność wprawdzie ma różne wymiary, lecz każdorazowo winna być osadzona w rzeczywistości. Nie usprawiedliwia to jednak bierności Sojuszu. Ale nie idzie o taką aktywność, jak przykładowo pozowanie przez byłych prominentów lewicy, w przedwyborczej familijnej fotce zabiegającego o reelekcje prawicowego prezydenta RP. Żałosny to widok. Ale czego się nie robi dla fleszowej migawki. W pogoni za byciem na salonach zapodział się honor i uczciwość wobec własnych biogramów i macierzystej partii. Zawiodła też polityczna intuicja i hazardowa kalkulacja.
Rodzi się więc pytanie: czy stać nas na to, aby poprawnie określić pojecie prawicowości i lewicowości w kontekście dobra Rzeczpospolitej, aby rozkwitała, a nie trwała w pieniackich pyskówkach.
Niezależna ocena przeszłości zawsze jest inna od tej dokonywanej z wnętrza dziejowego procesu. Dzisiejsze popisy oceniające czasy PRL, także w wykonaniu co niektórych niedawnych prominentów lewicy mają nieuczciwy posmak, odległy od demokracji. Nie sposób długo trwać w rozkroku i płynąć z uszkodzonym sterem, to najczęstsza metafora dla zatroskanych losem kraju dawnych lewicowych prominentów. Owi wybitni, poza mało wyrafinowaną twórczością nie wykazują ochoty do udziału w naprowadzaniu Polski na właściwy kurs. Może brakuje wyobraźni, a może wstydzą się lewicowości? Często po publicznym wyrzuceniu z siebie genialnych myśli, skrywają się w puszczańskich ostępach, wypatrując kolejnych okazji do osobistego zaistnienia. Sojusz to toleruje, miast dawać odpór koniunkturalizmowi. Chciałoby się więcej.

Janina Łagoda